



EMBRION

CZASOPISMO LITERACKO-KULTURALNE

Nr 1/2014

W numerze:

***Koniec świata
Obrona łez Platona
Za/chodzenie
Pisane przypadkiem***

SPIS TREŚCI:	
Zbigniew Chojnowski	
<i>Szara nasza kraina</i>	3
Monika Stępień	
<i>Roztrząsanie</i>	4
<i>(Kropla potrafi...)</i>	5
<i>(Powiedz mi to...)</i>	6
<i>Z Tobą</i>	7
Alexander Nowakowski	
<i>Hyle pod palcami</i>	8
<i>Pod czarny prąd</i>	9
<i>Marsz marz</i>	9
<i>Na tym kamieniu siedział Wielki</i>	
<i>Mistrz</i>	10
Wojciech Kobus	
<i>Za/chodzenie</i>	12
<i>Słońce</i>	13
<i>Za/mówienie</i>	13
Karolina Błażejczyk	
<i>Kartka z kalendarza</i>	14
Dawid Kraszewski	
<i>Cisza</i>	16
<i>Kratka</i>	16
<i>Pisane przypadkiem</i>	17
Marta Chudecka	
<i>Wieczny sen</i>	18
Sabina Kowalczyk	
<i>Miłość burz</i>	19
<i>Modlitwa do...</i>	20
Paulina Pukin	
<i>Obrona łez Platona</i>	21
Bartosz Ławrynowicz	
<i>Koniec świata</i>	24
<i>Rejs</i>	29
<i>Rzeka życia. Rzeka śmierci</i>	31

Drodzy Czytelnicy!

Składamy na Wasze ręce (wirtualnie) pierwszy numer redagowanego przez Koło Naukowe Twórczości Literackiej „Ars Scripta” czasopisma *Embrion*, które, wbrew temu, co mogłaby sugerować nazwa, niewiele ma tak naprawdę wspólnego z biologią.

Chodzi tu bowiem (nawiązując do stwierdzenia Sienkiewicza) o embriony literackie, jakimi są początkujący pisarze i pisarki, których teksty przyjemność mamy opublikować – twórcy będący dopiero na początku swojej drogi, będący w ciągłym rozwoju. Wynika z tego również pewna eklektyczność formy czasopisma.

Tworzymy więc w numerze chaos stylistyczno-znaczeniowy, starając się znaleźć w jego głębiach odpowiedź na współczesną literaturę. Nie jedną odpowiedź właściwie, ale wiele, każdy bowiem z autorów szuka na swój sposób i co innego odnajduje. A jeśli nawet odnajduje niewiele, to ważne, że podejmuje samą próbę, że zadaje pytania – właściwie wszak postawione pytanie ma czasem większą wartość, niż niejedna odpowiedź.

Chcielibyśmy jeszcze w tym miejscu podziękować doktorowi Pawłowi Pietrzykowi za nieocenioną pomoc, jakiej udzielił nam w pracach nad *Embrionem*, a także profesorowi Zbigniewowi Chojnowskiemu za wiersz otwierający numer.

Bez dalszej zwłoki zatem – poszukiwania odpowiedzi (i pytań) czas zacząć!

Alexander Nowakowski

Zbigniew Chojnowski

Szara nasza kraina

Szara nasza kraina:

jak skorupka łódki odwróconej do góry dnem,
jak strzępki żagla wystające z piachu i furkoczące na wietrze,
jak środek pękniętego wiosła bez piór,
jak żywa twarz umarłej.

A przecież to, co bolesne, nie jest tym,
co we mnie wchodzi, lecz tym,
co wychodzi ze mnie.

A przecież wszystko, co najważniejsze jest niczym...
niczym szara myszka na ścieżce wzdłuż domu
w drgawkach przed końcem,
skręcona w embrion.

Monika Stępień

Roztrząsanie

– Mówiłem do ciebie tysiąc razy, pukałem do drzwi, aż wreszcie dziurka od klucza zdradziła mi, że nikogo tam nie ma. Suche słowa jęczane przez wiatr nie niosą żadnych perspektyw. Rozmieniam się na krople, mając nadzieję być kałużą, na którą trafisz. Tam gdzie stopy poniosą. Tam i z powrotem, a potem donikąd. Albo dotąd. Bo tutaj jest bezpiecznie, miękko i cicho. Twój palec wygładza mi kontury i czuję się bezkształtny. Podatny i lekki jak nigdy dotąd, czuję, że dobrze wybrałem. Coś wiruje mi nad głową, ale nie ma konkretnej struktury. Liście? Śnieg? Tlen? To chyba wątpliwości. Lekkie anomalie, nie ma się co roztkliwiać. To absolutnie nie ma sensu, a przy okazji jest też nie do wytrzymania. Tak jak ty we wtorek. Albo w kwietniu, pamiętasz? Cytryna była za kwaśna, razem z mlekiem do kawy, a pomarańcze wcale nie sprawiły, że na stole były święta. Już teraz widzę wszystko wyraźniej, a kontury bez twojej pomocy rażą w oczy.

Liczba pojedyncza to zdecydowanie mój szczęśliwy numer. Nie wiem nic i boję się, że wiara wcale nie czyni cudów. To chyba wątpliwości.

– Musisz mi pomóc, bo rozmywa mi się obraz. Od czterech tygodni nie widziałam słońca i czuję się jak pergamin. Nie chodzi nawet o to, że jestem cienka i blada, problem w tym, że nic na mnie nie ma. Pękające naczynka nie układają się w słowa i nie odczytasz już melodii z linii moich żył.

Teraz jest cicho i już wiem, że powinnam się niepokoić. Czas mnie ubiegł i ubrał w słowa, więc teraz tkwię tutaj miętka, lekka, niedokładna. Wszystko nasila się i nie do końca obeznana jeszcze ze swoimi potrzebami podejmuję decyzje, których później będę żałować. Kiedy w ustach zasycha, to właśnie są wątpliwości?

– Chodnik zapowiada cicho nadchodzące piekło. Wszystko jakby bardziej skąpane w mroku jest obce i niepokojące. Nie mogę mówić do nikogo, bo nie zastałem cię w domu. Teraz stoję i palę papierosa, a w mojej głowie mieszkają strzygi. Albo coś zatrzymało się i szepcze, albo język stanął mi kołkiem.

Szumi mi w głowie, bo pusto tam jak w muszli, tyle że nie słychać morza, a wczorajszą ciebie. Teraz pomimo późnej pory wszystko widać jaśniej. Te same myśli, wciąż i wciąż bez końca każdego dnia wydają się przez to wszystko inne. Chyba światło latarni omamiło mnie i łudzę się po cichu, że jest słońcem w naszym salonie. Czuję zapach nikotyny, kiedy pocieram twarz dłońmi i wiem, że przez ten ułamek sekundy jestem na kawie w kuchni, przy twoim stoliku z ceratą w słoneczniki.

(Kropla potrafi...)

Kropla potrafi wypełnić kanał, dźwiękiem

rozlać po ścianach całą się.

Jeden krok może zakończyć podróż, za późno

Ocenić, czy to właśnie ten.

Mrugnięciem oka można przeoczyć, dni

całe obcym oddać na przemiał.

Kota nie dogłaskać jednym skinieniem, ręki

zaciśnięciem sprawić, by oniemiał.

Można przez sekund sześćdziesiąt, rozterek

powkładać do każdej szuflady.

Nie można przełykać za długo zgorzknienia, kawy

Rozlewać, gdy na nic nie ma rady.

Próbować trzeba żdźbła dźwięki usłyszeć, trąć

dłonią ziemię domową, rozgrzaną.

Uchwycić starać się zapach twych kroków, niepostawionych

kropek mowę uwznioślaną.

Nie da się tylko uciec od siebie, ucichnąć

w środku smakując harmonii.

Nie da się przeczyć samemu sobie, spokojnie

patrzeć na proces ironii.

(Powiedz mi to...)

Powiedz mi to.

Tańcz.

Uwaga!

Wołaj.

Uwaga!

Opowiedz.

Uważaj lepiej

wieczorem

naszego

szaleństwa

granicy

nie da się zapomnieć

powiedz mi, że

to nie prawda,

nie rezygnuj,

dłużej zostań.

Pozwól przez chwilę nie mylić się i wiedzieć.

Chcę widzieć.

Nie patrzeć!

Chcę rozmawiać.

Nie mówić!

Chcę usłyszeć,

nie słyszeć

zgrzytów

świata.

nie da się zapomnieć

pierwszego przekroczenia

obietnicy.

Pijany

kłamałeś, że

tylko

trochę

Z Tobą

Od czasu

liczę

j

e

d

e

n

dwa

trzy

cztery

do czasu.

Hyle pod palcami

Po szlakach himalajskich chodziliśmy jak po ideach filozoficznych – dosłownie i w przenośni. Spacerowaliśmy po szczytach i po wódce, czasem wznosiliśmy się na wyżyny ducha, czasem staczaliśmy się w głębiny pod stołem. Byliśmy ludźmi i zwierzętami, może zwierzętami trochę bardziej – ja, niestety wierzący w koncepcję nadczłowieka, i Ntambo, niestety realizujący tę koncepcję w praktyce. Afrykański lew w Tybecie (Ntambo bowiem oznacza – lew), któremu przez potarganą grzywę, skrzycone pazury i pozbawione powiek oczy bliżej raczej było do jakiegoś dzikiego bóstwa, niż azjatyckiego śmiertelnika, wspinał się po rzeczywistych górach jak kozica, po górach dusz zaś – jak uspokojona burza – stabilnie, lecz z rozmachem. Tak nam się właśnie brzytwa Ockhama w tasak zamieniła – powoli, ale nieubłagane. Poznawaliśmy istoty zamieszkujące jaskinie i nagie szczyty, a Ntambo, coraz bardziej zwierzęciejąc, coraz bardziej stawał się kimś więcej od człowieka. Może przez te wiecznie załzawione, zaczerwienione oczy widział coś, czego ja nie mogłem zobaczyć – ułamki sekund, gdy mrugałem, zabierały mi horyzonty i światy całe.

Wiszę na krawędzi, trzymając się resztkami sił. Wiedziałem, że do tego dojdzie mniej więcej od tygodnia, podejrzewam jednak, że Ntambo przeczuwał to już w chwili, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Przez lata całe zsuwałem się ze szczytów bardzo powoli i coraz częściej wołałem, aby zaczekał, gdy spocony musiałem usiąść i odpocząć. Zamknięty w schemacie jednej idei siedziałem tak czasem tygodniami, on zaś stał obok, ze wzrokiem wbitym w niedostrzegalny dla mnie horyzont. Wiszę zatem, trzymając się już tylko samymi opuszkami palców, a on, cały porośnięty gęstą sierścią, ze skrzydłami chyba, nie wiem, i rogami zawiniętymi do góry, nachyla się i mówi do mnie. Tłumaczy, że to wcale nie musi się tak skończyć, podciągnij się tylko, mówi, pokaż, że jesteś wart bycia człowiekiem. Cholera jasna. A mi już ręce drętwieją i pęcherz puszcza, wyć zaraz zacznę jak pies. Ntambo tłumaczy: dasz radę, znajdź zaczepienie dla nóg, a jak nie możesz, to spróbuj wciągnąć się jednym wyrzutem całego ciała. – Pomóż mi! – wrzeszczę. – Nie dam rady! Dotarło to do niego chyba, bo wyciągnął tasak i silnym uderzeniem odrąbał mi palce.

Pod czarny prąd

Obudziłem się przegapiony
przez łupież między zębami,
woskowinę między oczami,
i kości rzucone do jajecznicy.
Zaspane, przegapiły mnie:
Proroki obce z drogimi księgami,
Wywłoki krajowe z tanimi szminkami,
i tylko telewizja o mnie pamiętała.
Ale to wszystko.
To pewnie ich wina, pewnie ich problem,
Ja przecież jeżdżę po żołądkowym
zgodnie z rozkładem.

Marsz marz

Słowik mi wybił czas na ucieczkę
Raz
Koń parska wściekle i w kraje odległe
Dwa
Kamień, jaszczurka i trakt szeroki
Trzy
Siedzę w fotelu podparty pod boki
Cztery
Litery
Nie ruszą nigdzie
Te oficery

Na tym kamieniu siedział Wielki Mistrz

Zanim został mędrce i zyskał swe szlachetne miano Wielki Kusztro był zwyczajnym obywatelem – denerwował się w kolejkach sklepowych, przeklinał matki kierowców autobusów, które raczyły wydać na świat tych hamujących z piskiem opon kretynów, nienawidził polityków, ZUSu i gówniarzy z trzeciego piętra, których tak zwana „muzyka” sprawiała, że trzęsły mu się szyby w oknach i myśli w czaszce. Wszystko to doprowadzało go do szału i rozstrojów żołądka – były chwile, w których pragnął pozostawić za plecami ogrom całej tej zawuszonej cywilizacji i zagłębić się gdzieś w nieprzebytej puszczy, gdzie budziłby go śpiew ptaków i delikatne, przesączone przez korony drzew światło słońca.

Ale jak na razie budził go poranny jazgot sąsiadki i jej telewizora, z każdym więc kolejnym dniem coraz bardziej pociągały go nieskończone, pozbawione ludzkiej obecności knieje i lasy. Dlatego też, pewnego szarego poranka, nie powiadamiając ani kochanej małżonki, ani chorej matki (przyjaciół żadnych nie miał), zamiast do pracy udał się w podróż, która odmienić miała jego życie. Gdzie przez kolejne dwadzieścia lat przebywał – niepodobna zgadnąć, w chwili jednak, gdy spotykamy go powracającego ze swego odosobnienia, Wielki Kusztro ma piękną burą brodę i podkreślone na końcach siwe wąsy, ogrom oświeconej wiedzy, spokój duszy i hemoroidy od przesiadywania na gołej ziemi. Mistrz w czasie swojej wieloletniej wędrówki nie próżnował – opracował system filozoficzny stanowiący podwaliny nowej religii, która w krótkim czasie opanować miała cały świat.

Siedząc otóż przez długie godziny pod rozgwieżdżonym niebem i medytując Wielki Kusztro zauważył, że jego nienawiść do ludzkości nie tylko nie zmniejsza się, ale wręcz rośnie. Co więcej, mędrzec przywołując we wspomnieniach wszelkie zachowania ludzkie, z którymi się spotkał, i zrywając z nich zasłonę codziennego fałszu zrozumiał, że w swojej nienawiści nie był bynajmniej odosobniony – ludzie nienawidzą ludzi i uczucie to narasta w miarę przebywania w społeczeństwie. Mistrz dostrzegł jednak, że bardzo często destrukcyjny potencjał nienawiści marnuje się, powstrzymywany przez takie bzdury, jak praworządność czy konwenanse. I odrzucił Wielki Kusztro te niby-wartości, za jedyną i prawdziwą cnotę przyjmując nienawiść.

Powrócił więc mędrzec na łono społeczeństwa głosząc mowę nienawiści i wzajemnego wyniszczenia, nawołując do pogromów na tle etnicznym, religijnym i rasowym,

a nie zapominając o potępianiu orientacji seksualnych, niezależnie od koloru. I przyjęty został Wielki Kusztro ze zrozumieniem na początku, a wciąż nabożną niewiele później.

– Na początku był człowiek, a człowiek był z debila, i debilem był człowiek. – mawiał, i zwykł dodawać, że nienawidzić należy wszystkich razem i każdego z osobna. Szybko też zaczęły się demonstracje i protesty, powstania i otwarte konflikty nareszcie. Szedł tedy mistrz targanymi zamieszkami ulicami, mijał leje po bombach i widział, że były one dobre, mijał zwęglone budynki i martwe ciała i widział, że one też były dobre, i cieszył się Wielki Kusztro – radowała się dusza jego.

Nadszedł więc moment, gdy zwykłych karabinów i napalmu, rakiet ziemia-powietrze i torped było za mało, więc, by należycie wypełnić wolę mistrza, użyć należało broni większego kalibru. Wcześniej już, radzący się w sposobach ciemienia bliźniego, szefowie największych państw zapytywali oświeconego czy użyć należy broni masowej zagłady i nieodmiennie odpowiadał im Wielki Kusztro – jak, zaprawdę, chcesz nienawidzić bliźniego swego, jeśli zabraknie ci tego bliźniego?

Nie mógł być jednak żar religijny dłużej studzony i przewidział to mędrzec, gdyż zwołał niebawem wielki szczyt ONZ. Zjawili się przeto wszyscy, którzy dostęp mieli do umieszczonych w podziemnych bazach dużych, czerwonych przycisków i nastała cisza, gdyż przemówić miał Wielki Kusztro.

W chwili więc, gdy oczy całego świata skupiły się na nim i wybuch globalnej wojny atomowej zależał wyłącznie od tego, czy on jej nie powstrzyma, Wielki Kusztro, po tylu latach nareszcie prawdziwie szczęśliwy, wyciągnął pistolet Smith&Wesson kaliber 9mm, włożył do ust i wypalił.

Wojciech Kobus

Za/chodzenie

Zajdziesz ze mną
pod klatkę
ubrana w mleczny kozuch ciąży.
Wrośnięci w futrynę,
dorośniemy do windy.
Piętami kręgów szyjnych,
na stopniach
przed i po pokoju
gramy
na oddawane.
Raz,
Dwa,
Trzy.
Zamieniam się w słuch
absolutny.

Słońce

Ściele się gęsto
przed tym zejściem.
Po sobie kładę uszy i
po sobie nie daję poznać,
że mam to na własnej skórze.
Na podkulonym ogonie,
(jak na sprężynie)
z drżącą szczęką w szklance
przymykam oko.

Zachodzisz w głowę?!
Po moim trupie!

Za/mówienie

Odchodzę od zmysłów.
Słuch, węch, wzrok i smak
zostaną stracone.

Wisielczy nastrój sprzyja
kolejnym egzekucjom.

Zanurzonym
pozostanie tylko dotyk.

Karolina Błazejczyk

Kartka z kalendarza

Powoli otwieram oczy. Sen znów uciekł, jak zawsze nie dał się zapamiętać, pozostawiając po sobie tylko kilka niejasnych skojarzeń. Słońce powoli sączy się przez szparę w zasłonach, złocisty promień pada na podłogę i tam już pozostaje, może jemu nie chce się tak samo jak mnie? Może to, że jest taki ciepły i miły, to tylko pozór? Przecież każdy czasem udaje...

Leżę ciesząc się tym spokojem, z radia płynie cicha muzyka, lecz już za chwilę trzeba będzie wstać, porzucić tak bezpieczną pozycję embrionalną na rzecz postawy wyprostowanej – *nie garb się!* – wejść, z własnej, nieprzymuszonej ponoć woli, w ten gwar, hałas, który ktoś nazwał życiem.

Wstępuję więc w to sama, bez namawiania przez kogokolwiek, bo tak trzeba, *bo taki jest zwyczaj*, bo właśnie tak dawno temu postanowiono.

Toaleta, łazienka, kuchnia, w kuchni jak zwykle rozglądam się bezradnie, nie potrafię zmusić się do jedzenia, a przecież *śniadanie jest najważniejszym posiłkiem dnia*, nie no, kto to wymyślił, przecież to bzdura jakaś.

Zrezygnowana wlokę się do pokoju, trzeba się ubrać, przecież nie pójdę na zajęcia w pizamie, za bardzo bym się wyróżniała wśród tłumu – *nie próbuj nigdy iść pod prąd!* – dlatego wybieram nie rzucającą się w oczy czerń.

Pora wyjść. A może by jednak zostać? Łóżko o tej porze kusi wyjątkowo mocno. Wewnętrzna walka trwa. Zwycięża „wyjść”. Trasa ta sama co zawsze – mijam Teatr Lalek, piekarnię, kościół, szkołę o wyglądzie klasztoru, centrum, starówkę, „Beczkę”, setki skrzyżowań, przejść dla pieszych i remontów, by w końcu znaleźć się na Kortowie. Czas? Nie mierzyłam.

Znowu nic nie mogę poradzić na to, że widok miasta oglądany z I piętra wydziału jest dużo ciekawszy niż zajęcia. Nie dlatego, że nauka mnie nie interesuje. Interesuje. Tylko nie dziś. Nie w tej chwili. *Proszę by dobrze zrozumiano mnie...* Ale kogo to obchodzi? Jak nie teraz – to kiedy?

Wszystko jednak ma swój kres, nawet najnudniejsze ćwiczenia. Czas na drogę krzyżową, o przepraszam – powrotną.

U jej kresu raz jeszcze okazuje się, że łóżko straciło poranną (i potężną) moc grawitacji. Może to i dobrze? Popołudniowe drzemki zazwyczaj skutkują niezrobieniem niczego w ostatnich chwilach mijającego dnia i bezsennością w nocy – *bezsenne noce, senne dni...* – a tego staram się unikać.

Wyznaczam sobie granice czasowe – nie pójde spać szybciej niż o 23:00... Nie szybciej niż o 22:30... W końcu zatrzymuję się na 22:00, kiedy czytanie czegokolwiek i tak nie ma sensu, ponieważ wzrok odmówił współpracy jakieś pół godziny temu.

W końcu można zgasić światło.

Leżę patrząc w sufit, mogę to robić, miasto chyba nie wie, czym jest ciemność; *the dark eternal night*, tego mi najbardziej tu brakuje; więc leżę i patrzę, i myślę, a wnioski te same co zawsze – tego dnia nie wydarzył się żaden cud. A może jednak? *Przecież znowu nie otworzyliśmy sobie żył!*

Powoli zamykam oczy. Sen zawsze jest błogosławieństwem. *Tell me the reality is better than the dream...*

Rano będę mogła wyrwać kolejną kartkę z kalendarza.

Dawid Kraszewski

Cisza

*Bo gdy się milczy, milczy, milczy
to apetyt rośnie wilczy
na poezję, co być może
drzemie w nas.*

Jonasz Kofta, „Song o ciszy”

Najlepszym słowem i lepianką dla Poety
Jest

Kratka

wchodzić bez pukania
serca
na palcach
od rękawiczki
zamiast po stopniach
wtajemniczenia
zapuszczać się
w dziewiczą dolinę
słonecznego splotu

całować dopiero co wyrwaną
kartkę

w kratkę

Pisane przypadkiem

w ogóle nie myślę o śmierci
choć teraz myślę
jak często ona myśli
o mnie

czy spotkałem ją już
kiedyś
tak
naprawdę
jak spotyka się
uduchowionego księdza

a może dostałem od niej
bilet ulotkę monetę maila
z *feedbackiem* o wierszu
może otwartą dłoń
wyciągniętą
z kieszeni jedwabną chusteczkę

a może wczoraj
zawinęła dla mnie kanapki
potrąciła na ulicy

a może wystarczy
tylko
wyjść

Marta Chudecka

Wieczny sen

Idąc przez las, czułam zapach deszczu, który niedawno napoił trawę. Zielone liście oddawały mi delikatny pokłon, gdy przechodziłam obok nich. Słyszałam cichy głos. Nie mogłam jednak zrozumieć, o czym mówi. Wydawało mi się, że używa bardzo starego języka, dawno już zapomnianego. Pochodzącego z czasów, gdy ludzie żyli jeszcze w zgodzie z naturą. Nie byli wtedy sami. Mieli wielu przyjaciół próbujących wskazywać właściwą drogę, lecz niestety mieszkańcy Ziemi ostatecznie zostali głusi na rady mądrzejszych. Wybrali drogę wiodącą ku zagładzie. Dano im jeszcze jedną szansę. Mogli przejrzeć na oczy, ale większość nie chciała o tym nawet słyszeć. Wolała żyć w świecie „cywilizowanym”, z wszelkimi udogodnieniami, zapominając o tym, co jest prawdziwym sensem egzystencji.

Moje stopy natrafiały na miękkie mech. Byłam już blisko. Na horyzoncie pojawiło się jasne światło, które szeptało moje imię. Początkowo bezkształtne, zmieniło się w postać. To ona poprowadziła mnie dalej. Coraz wyraźniej widziałam jej zarys. Miała złote włosy, w które wpleciona była aureola, szata sięgała niemalże do samej ziemi. Początkowo sroga twarz, przybrała łagodny uśmiech. Dzieliło nas już tylko kilka kroków. Anioł wyciągnął w moim kierunku dłoń, którą chwyciłam bez chwili zastanowienia. W tym samym momencie moje ciało powoli osunęło się na miękkie podłoże, lecz ja nadal stałam. Usłyszałam ciepły głos, rozchodzący się nie w powietrzu, tylko w mojej głowie. Mówił, że dotarłam do końca swojej podróży i przeprowadzi mnie na drugą stronę, gdzie będę mogła żyć w harmonii z innymi istotami. Otoczył nas oślepiający blask, a gdy przygasł, moim oczom ukazała się kraina wiecznego ładu. Ci, którzy tu byli, nie znali wojny, zazdrości, kłamstwa. Byli prawdziwi, nie musieli udawać. Bawili się ze zwierzętami, nazywanymi przez „cywilizowanych” dzikimi, ale nikt nikogo nie atakował. Rozumieli się niemal bez słów, wystarczyło jedno spojrzenie i wszystko stawało się oczywiste. Nic nie zakłócało ich spokojnego życia.

Przypomniałam sobie o starej ziemi, która ulegała rozpadowi. Widziałam, jak płoną lasy, domy, całe miasta. Śmiertelnym pozostały jedynie łzy wyrażające bezradność i tęsknotę za czasami niosącymi spokój, radość i bezpieczeństwo. Lecz to nie był już mój dom. Teraz jestem w świecie zamykającym się w dwóch słowach: *wieczny sen*.

Sabina Kowalczyk

Miłość burz

Burze kochają
Gwałtownie i krótko

Wyciągają elektryczne ramiona
By dotknąć i zatulić nimi
Na śmierć

Rykiem oszalałej namiętności
Obwieszczają swoje: kocham! kocham!
I gubią same siebie
Przez własny wybuch czułości

Najgorsze są te wiosenne
Nie wiedzą jeszcze
Co i Jak
Grzmią najgłośniej
Roszą najobficiej
Płoną najogniściej
I giną najszybciej

Nie pomagają
Rozpaczliwe pioruny
Huczące wichury
I szalone rozbłyski światła

Bo wszystko mija.

A przed burzą i po burzy
Pozostaje tylko
Napięty krzyk ciszy

Modlitwa do...

Lekko mi utkaj
Spokojny gniew.
Spraw, by mnie palił,
Kusił jak grzech!

Niepokój zasiej,
Ciekawość tchnij.
Duszę rozerwij,
Codzienność klnij!

Lecz nie zostawiaj
W tej nudzie dnia.
Chcę sięgać wyżej,
Być światłem gwiazd.
Chcę głębiej spadać
I ciemniej śnić...

Nie pozwól zmarnieć,
Nie pozwól zgnieć!

Błagam! Wysłuchaj,
Co możesz – zmień...

Paulina Pukin

Obrona łez Platona

Rozumiem Platona. Naprawdę wierzę w jego afirmacje.

Myślę, że nie macie prawa pisać:

*„Spotkałem się ze Śmiercią Mistrza,
byłem lepszy od Platona”.*

Nie sądźcie! Może przeczytaliście dialogi platońskie,
znacie na pamięć teorie ucznia najwybitniejszego filozofa
wszech czasów, ale nie znacie Platona.

Jestem częstką, która zna: marzenia, myśli i miłość Waszego ulubionego myśliciela.

Jestem zupełnie inna niż Wam się wydaje.

Powstawałam bardzo długo, Platon próbował rozwijać swój profesjonalizm. Myślę, że starał się,
aby coś mogło dorównywać pięknocią cnocie. W takim razie nie udało mu się.

Jestem pomarszczona i niezgrabna, nie mogę porównywać się
do najważniejszej wartości Sokratesa.

Rosłam we wnętrzu Platona. Mój stwórcy bywał na mnie zły
i czasami pragnął, abym zobaczyła Ateny. Bałam się, dlatego nie chciałam spełnić jego
pragnienia. On nigdy nie wywarł na mnie presji, czekaliśmy cierpliwie, aż zakochamy się
w swoich oczach. Byliśmy pewni, że ten dzień kiedyś nastąpi.

*„Jeżeli czeka się na coś niezwykłego,
można wytrzymać bardzo długo.”*

Gdzie to przeczytałam? Nieważne.

Kochałam go bezinteresowną miłością. On chyba o tym nie wiedział. Umiłował Mądrość.
Wiedziałam, że to dama, z którą nikt nie wygra, ale to ja pewnego dnia stałam się jego
jedyną oblubienicą. Wtedy dowiedział się, że nikt nie zna go lepiej ode mnie. Stało się
to dnia, o którym zapewne coś wiecie, mimo tego, że od dawna należy do przeszłości.
Chociaż jeżeli nikt z Was nie zbuduje wehikułu czasu, nie będziecie mogli powiedzieć
o tym wydarzeniu:

„Widziałem!”

Na pewno czytaliście moje zasuszone siostry. Jestem pewna, że nie jest Wam obca
„Obrona Sokratesa”, dlatego pominię fakty, z którymi jesteście już zapoznani.

Na pewno wiecie, że Platon nie mógł pisać tego jako komentator-obszawator
(jak nazywam współczesnych szczęściarzy, którzy mają okazję relacjonować sytuacje,
których są świadkami).

Nie wiecie tylko jednego.

Platon był dojrzałym człowiekiem, miał dwadzieścia osiem lat, gdy osądzono Sokratesa. Wiedział, że nie może zawieść swoich wcześniejszych nauczycieli. Nie chciał okazać się słabeuszem, który wzruszyłby się, widząc umierającego Mistrza. Nikomu o tym nie powiedział. Tylko ja to wiedziałam.

Pamiętam dzień, w którym dowiedział się, że Sokrates nie żyje.

„Jak to?! On nie żyje? On jest nieśmiertelny” – niestety, był człowiekiem z krwi i kości... Zapomniał o mnie. Chciał być sam, ale nie mogłam pozwolić na cierpienie ukochanego. Zauważył, że wychodzę na świat. Próbował ukryć mnie rękawem.

Byłam silniejsza od niego. Po chwili starał się tłumaczyć przed sobą:

„To tylko paproch.”

ale nie byłam czymś o tak mało lirycznej nazwie.

Gdy podwoiłam się, po sekundzie stałam się kwartetem, a następnie oktetem, (Pamiętam, to był ciąg geometryczny o ilorazie przypominającym łabędzia. Tak zwane „q” wynosiło niezwykle Dwa), Platon nie potrafił dłużej oszukiwać siebie. Nazwał moje siostrzyczki: *„Łzami”*, a mnie *„Królową Łez”*.

Nie chciał, aby ktoś zauważył, że atleta, którym stał się dzięki trudnej pracy, płakał. Wstydził się. Wytarł nas z policzków, kładł w swe silne dłonie. Większość mych sióstr zakochało się w ciele Platona, zbliżyły się do jego rąk, zostały w nich.

Nigdy ich nie wypuścił, do ostatniego dnia patrząc na dłonie, przypominał sobie, że przy liniach papilarnych znajdują się łzy z 399r.p.n.e.

Reszta, która była zahipnotyzowana nim i jego oczami (zaliczałam się do tego grona), nie opuściła go do ostatniej chwili smutku. Wybiegł ze swojej kryjówki, starał się nas wytrzeć o ziemię. Stałyśmy się kałużą.

Nie potrafił na nas patrzeć, wrócił do siebie.

Odważył się na krótkie pożegnanie:

„Wybaczcie, Łzy.

Kocham cię, Królowo Łez.”

Na szczęście, żaden Ateńczyk nie był na tyle spragniony, żeby spróbować napić się kilku kropel z jeziora łez Platona.



Ilustracja: Monika Stępień

Koniec świata

Chociaż każdy z nich spodziewał się, że ten dzień zmieni jego życie, nikt nie przewidział, że stanie się to w taki sposób. Spotkali się w wielkiej, bogato ozdobionej sali balowej, w której stały czarne stoły ustawione w "podkowę". Leżały na nich białe obrusy, zastawione naczyniami. Wszyscy goście ubrani byli w eleganckie stroje. Zasiedli i rozpoczęli ucztę. Popijali czerwone, półsłodkie wino, które smakowało niczym najlepszy nektar wykradziony bogom. Bogata otoczka wcale nie wprawiła nikogo w wesoły nastrój. Wszyscy jedli w milczeniu, czekając na jakikolwiek znak. Taka dostojna, cicha atmosfera trwała pół godziny. Mężczyzna siedzący u szczytu stołu powstał z lampką wina w dłoni i zastukał w nią widelcem. Sam dźwięk nie miał na celu zwrócenia uwagi gości, którzy i tak już wypatrywali jakiegokolwiek gestu gospodarza. Miał on jedynie zakomunikować zebranym, że już czas.

– Moi drodzy, me serce raduje się na wasz widok – zaczął mężczyzna ubrany w czarny frak, który sprawiał, że wyglądał nadzwyczaj dostojnie. – Moi drodzy, objawienia, które zesłał na mnie Pan, wskazały mi drogę. Dokonałem drobiazgowych wyliczeń, z których wynika, że koniec życia, jakie znamy, nastąpi już wkrótce. Spożyliśmy już nasz ostatni posiłek. Teraz bawmy się! Tańczmy i żegnajmy tę nędzną planetę! Jeszcze dziś wieczorem wstąpimy na dwór Ducha Przedwiecznego! – zakończył niemal krzykiem. Jego słowa skwitował aplauz wiernych.

Goście zaczęli wychodzić zza stołu i łączyć się w swym ostatnim tańcu. Falowali w okręgu, w takt walca wiedeńskiego. Jedynie ich przywódca nie bawił się z resztą. Stał pośrodku obserwując gości, niczym pasterz oczekujący na przepędzenie owieczek na nowe pastwisko. Cieszył swe oczy widokiem ich szczęścia. Obrazem, który miał w tej formie widzieć ostatni raz. Muzyka szybko zmieniła się na mniej dogmatyczną, za to bardziej rozrywkową i w tle zabrzmiał stary, klasyczny rock' n' roll. Na pierwszy ogień poszło ZZ Top. Nauczyciel nie winił swoich uczniów, że chcieli się bawić. Cieszył się ze zmiany muzyki, skoro miała im przynieść jeszcze trochę radości przed podróżą. Uśmiechał się patrząc na miny tych wszystkich kobiet i mężczyzn, którzy na chwilę zapomnieli, co ich czeka. Wyrzucili ze swej świadomości myśl, że ich świat za chwilę zmieni się w pył. Dał im ostatni moment szczęścia. Poświęcił rok na przygotowanie im miejsca w drugim świecie. Teraz stał i obserwował ich beztroską zabawę. Niestety, musiała ona dobiec końca. Zostało zaledwie kilka minut do przejścia w stronę nowego życia. Wyłączył muzykę i zwołał wiernych.

– Już czas! Trybiki boskiej maszyny zaczynają się już zatrzymywać. Ostatnie sekundy zostały do końca, który ma nadejść właśnie teraz! Żegnajcie bracia i siostry! Zobaczymy się po drugiej stronie!

Nic się nie wydarzyło.

Czekali w milczeniu jeszcze pięć minut. Później czekali jeszcze dziesięć. Wtedy odezwały się pierwsze wątpliwości, szybko zebrały się w całe wiadro pomyj lejących się na głowę Edmunda, który przestał już być ich nauczycielem.

– Oszuście! Straciłem przez Ciebie cały majątek! – krzyknął jakiś mężczyzna.

– Rozwiodłam się dla Ciebie i porzuciłam swoją rodzinę! – bulwersowała się kobieta.

– Wszystko to Twoja wina! – wtórował tłum, za którego poczynania bezpośrednio odpowiedzialny był Edmund.

– Przepraszam! Musiałem się pomylić! To musi być różnica maksymalnie dnia lub dwóch! – zaczął się tłumaczyć były prorok.

– Oszukałeś nas!

Edmund przestał odpowiadać na słowa oskarżycieli i zaczął się wycofywać. Dzięki temu, nim jego dawni wyznawcy przeszli do aktów ewentualnej przemocy, Edmundowi udało się wybiec na korytarz. Początkowo ruszył na oślep. Martwił się jedynie odległością, jaka dzieli go od rozjuszonego tłumu. Szybko jednak zorientował się, że musi obmyślić jakiś plan ucieczki. Gnał ile sił w nogach. Mijał rozmaite drzwi prowadzące do wielu małych pomieszczeń, które nie nadawały się na bezpieczne schronienie. Długi korytarz ciągnął się niemal w nieskończoność.

Nagle w jego głowie zrodził się pomysł. Jeszcze wczoraj nazwałby go objawieniem, dzisiaj był to jedynie pomysł. Mijając windę, zręcznym ruchem nacisnął przycisk „0”. Sam odskoczył w boczny korytarz i, stąpając jak najciszej, ruszył przed siebie. Jego wyznawcy uznali, że pojechał windą w dół. Dlatego tłoczyli się przed wejściem do szybu. Udało mu się ich nabrać. Teraz część z nich ruszyła schodami na dół. Reszta została przy windzie. Edmund przycisnął się ukryty przed wzrokiem swoich dawnych uczniów za drzwiami toalety. Odczekał, aż ostatni ścigający go wierni wsiądą do windy i ruszył wolno w stronę schodów. Jego serce biło jak oszalałe. Nie udało mu się jeszcze uspokoić oddechu wzburzonego biegiem, a musiał teraz jak najcichszym krokiem przekraść się ku schodom. Miał wrażenie, że dłonie któregoś kipiącego wściekłością mężczyzny zacisną się zaraz na jego karku i wydadzą go na pastwę krwiożerczego tłumu. Co najgorsze, obsługa hotelowa nie reagowała na powstałe zamieszanie. Już podczas rezerwacji sali uznano go za czubka. Ciarki przechodziły mu po plecach. Czuł się nieustannie obserwowany. Odległość dzieląca go od schodów wydawała się nieskończenie długa, a każdy krok sprawiał wrażenie niezwykle małego. Czuł ciągłe zagrożenie i najchętniej rzuciłby się biegiem przed siebie, nie zwracając uwagi na hałas, jaki powoduje. Ogarnął go paniczny strach, wszelkie myśli uciekły z jego głowy. Pozostał w niej tylko czysty, prymitywny instynkt przetrwania.

Udało mu się cicho podejść do schodów. Jego wierni krążyli teraz po niższych piętrach budynku. Gdyby usłyszeli jakiś podejrzany dźwięk na górze, znaleźliby się tutaj w kilka sekund. Edmund zaczął się wspinać w górę schodów. Powoli, niemal bezszelestnie, kierował się w stronę dachu. Tam na pewno nie będą go szukać. Prawdopodobnie założą, że udało mu się wymknąć z budynku i będą musieli pogodzić się z porażką. Teraz tylko musiał przemknąć się na dach, gdzie będzie mógł spokojnie wszystko przemyśleć. Może tam siedzieć nawet do rana. Wolał być pewny, że nie trafi w łapska rozwścieczonego tłumu.

Dach budynku okazał się idealnym schronieniem, w którym Edmund mógł przeczekać najgorsze. Było tam pusto i bardzo spokojnie, mężczyzna usiadł tak, by nie było go widać zaraz po wejściu na dach. Schował się za jednym z wielu wywietrzników dostarczających do hotelu świeże powietrze. Gdy już był bezpieczny położył się, odpalił papierosa i pogrążył w zamyśleniu. Wszystko się przecież zgadzało. Od miesięcy obliczał datę końca świata. Każdy znak się zgadzał, wszystko było na swoim miejscu. Mimo tego popełnił jakiś błąd. Zrujnował życie tylu ludzi. Każdy z nich wyzbył się swego majątku i więzów rodzinnych. Każdy był gotów iść z nim do nowego świata. Teraz myśleli, że ich okłamał. Gdyby wiedział, że sprawy przyjmą taki obieg, w ogóle by się w to nie mieszał. Zignorowałby wszystkie znaki. Jeszcze przecież rok temu był szczęśliwym człowiekiem żyjącym tak jak każdy inny.

Z zawodu był księgowym. Jego praca była nudna, ale opłacalna. Żył spokojnie, czerpiąc garściami z wolności, jaką dawał mu jego kawalerski stan. Wtedy pojawił się pierwszy sen i rozpoczął to szaleństwo. Pamiętał, że we śnie wszystko było rozmyte. Mimo że nie widział żadnych szczegółów, to rozpoznał swoje mieszkanie. Jedyne, co rzuciło mu się wtedy w oczy, to jego ciało leżące w łóżku. Podczas gdy on sam jakby z niego uleciał i pod postacią lśniącej kuli energii unosił się w powietrzu. Wtedy wszystko rozbłysło i do pokoju wkroczyła tajemnicza postać. Miała na sobie coś w rodzaju habitu. Wielki, brązowy kaptur częściowo zakrywał jej twarz. Twarz, która nie posiadała żadnych rysów. Postać nie miała oczu, ust czy nosa. Była jedynie kawałkiem skóry. Mimo tego przemówiła, jej głos dochodził jakby z zewnątrz: „Edwardzie, zostaniesz nauczycielem prostych dusz. Wybrałem Ciebie, byś prowadził do mnie ocalonych, gdy tylko ten świat przestanie istnieć. Wyliczysz datę i godzinę końca świata. Będiesz wiedział, ile masz czasu, by nauczać. Otrzymasz znaki, które Ci pomogą. Pierwszy nastąpi za trzy dni. Ta liczba będzie Ci bardzo pomocna”. Nim mężczyzna zdążył się odezwać, sen dobiegł końca. Dziwna postać zniknęła w momencie, gdy otworzył oczy. Z początku bagatelizował znaczenie snu, ale znaki faktycznie zaczęły się pojawiać. Jeden w połączeniu z drugim wskazywały mu drogę, którą powinien podążać.

Nie! Nie mógł teraz o tym myśleć! I tak nie miał już wpływu na to, co uczynił. Musiał przemyśleć bieżące sprawy. Usiadł i złapał się za głowę. Mocno chwycił włosy, które wplątały mu się między palce. Musiał się zorientować, jak zła jest jego sytuacja. Czy ci ludzie mają zamiar go prześladować? Czy da się coś zrobić, by naprawić

wyrządzone szkody? No i najważniejsze – gdzie popełnił błąd? Przecież przemyślał każdy szczegół. Sprawdził dokładnie wszystkie kalkulacje. Nic nie mogło pójść wbrew jego przewidywaniom. Z drugiej strony, Stwórca przecież nie mógł go okłamać. Nie chciałby go upokorzyć w oczach tak wielu ludzi. Od momentu, gdy wyliczył datę końca, do jego organizacji przyłączyło się wielu wiernych z całego świata. Słuchali jego słów i podążali za jego kazaniem. Stał się odpowiedzialny za ich czyny. Widział, o ile łatwiej było im podejmować trudne decyzje, gdy mogli się wytłumaczyć stwierdzeniem „Nauczyciel mi tak kazał”. Wielu ludzi odczuło wielką ulgę, gdy porzuciło rodziny. Z radością sprzedawali majątki i zwalniali się z pracy, by żyć w komunie utrzymanej ze wspólnych oszczędności. Radowali się, wyzbywając się odpowiedzialności. Wszystko składali na barki Edmunda. Niestety, gdy słowa nauczyciela się nie sprawdziły, ich rozczarowanie i gniew musiały spaść na tego, którego słuchali. Który zwolnił ich z odpowiedzialności za swoje czyny.

Teraz Edmund musiał za to wszystko zapłacić. Niestety, nie umiał. Był przerażony i bał się kary, jaką za to będzie musiał otrzymać. Przecież chciał dobrze. Postępował zgodnie z tym, co mówił mu Stwórca. Będzie musiał uciekać! Zbiec gdzieś, gdzie nikt nie będzie rozpoznawał jego twarzy. Ukryć się i przemyśleć wszystko. Znaleźć wytłumaczenie swojej pomyłki. Stwórca nie mógł go oszukać! To on musiał się pomylić. Ucieknie! Tak! Jutro rano wymknie się z tego hotelu, wstąpi do domu po rzeczy i ucieknie jak najdalej potrafi. Teraz bardzo się cieszył, że żaden z jego wiernych nie dowiedział się nigdy, gdzie mieszka ich nauczyciel. Nie! Nie może zakładać najgorszego scenariusza! Może wszystko rozejdzie się jeszcze po kościach. Niczego nie pragnął tak bardzo jak uniknięcia kary. To wszystko przecież nie było jego winą! Niestety słońce miało pojawić się dopiero za kilka godzin. W zasadzie lepszym pomysłem byłoby wymknięcie się pod osłoną nocy, ale Edmund wolał poczekać. Za bardzo bał się opuścić swoje bezpieczne schronienie. Wolał poczekać jeszcze kilka godzin. Adrenalina opadła i czas przestał mijać w wybranym przez siebie tempie. Godziny stały się jednostajne i niezmiernie długie. Wypalone papierosy wysuszyły mu gardło, a senność przyprawiała go o ból głowy. Mimo tego mężczyzna nie mógł zasnąć, świadomość błędu, jaki popełnił, cały czas go gnębiła.

W końcu pierwsze promienie słońca nieśmiało wychyliły się nad horyzont i zaczęły odganiać noc. Mężczyzna był bardzo przemęczony, dzięki czemu strach przestał być tak mocno odczuwalny. Podniósł się z ziemi i ruszył w kierunku schodów. Zejdzie na dół i jak gdyby nigdy nic opuści hotel. Pojedzie do domu, a tam zdrzemnie się kilka godzin. Później będzie się zastanawiał, co robić dalej.

Na początku wszystko szło zgodnie z jego planem, bez problemu dotarł do swojego samochodu. Włączył silnik i ruszył przed siebie, pustymi jeszcze uliczkami. Miasto było spokojne i nie działo się nic złego. Jakby wczoraj zupełnie nic się nie wydarzyło. Edmund poczuł, że wszystko uchodzi mu płazem. Ta iluzja szybko opętała jego serce. W takich chwilach ludzki mózg desperacko pragnie powrotu do spokojnego życia i łapie się każdej nadziei. Tak było i tym razem. Edmund czuł się niewinny.

Wczorajszy wieczór wydawał się tylko złym snem. Miał dobry humor i nawet zaczął pogwizdywać wesołą melodię swej ulubionej piosenki. Wszystko przestało się liczyć. Z jego umysłu zniknął koniec świata, znaki dawane mu przez Stwórcę, czy jego dawni uczniowie, którym zniszczył życie. To wszystko stało się tylko złym snem. Gdy zajechał pod swój dom, nadal trwał w swym zbawiennym przeświadczeniu. Mimo że przez sekundę ukłuł go w serce dreszcz niepokoju, nadal starał się zachować dobrą minę. Szedł pewnym krokiem w kierunku kamienicy, w której mieściło się jego mieszkanie. Wszystko było takie spokojne i naturalne. Edmund niczego nie podejrzewał. Wszedł na korytarz i stanął przed swymi drzwiami. Nadal nic się nie wydarzyło. Włożył klucz w dziurkę i przekręcił. Nie stało się nic nadzwyczajnego. Otworzył drzwi do swojego mieszkania i bajka iluzorycznego bezpieczeństwa prysła. Wszystko znowu stało się realne, a niebezpieczeństwo było bliżej niż kiedykolwiek.

– Skąd wy u... – odezwał się w kierunku swoich wyznawców, którzy czekali w jego mieszkaniu. Edmund był pewien, że nie wiedzieli, gdzie mieszkał.

– Nie spodziewałeś się nas? – spytał barczysty mężczyzna. łapiąc Edmunda swymi silnymi dłońmi i rzucił na podłogę. – Zniszczyłeś nam życie. Na Twoje nieszczęście nie mamy już nic do stracenia. Zamierzamy Cię zabić.

Mężczyźni zaczęli go kopać. Uderzali go butami w twarz, brzuch i plecy. Straszny bólem niósł się po jego ciele każdy z tych silnych ciosów. Krew zaczęła płynąć z jego złamanego nosa. Plecy paliły ognistym bólem. Wielokrotnie uderzony żołądek wywoływał u Edmunda odruchy wymiotne.

– Wystarczy! – krzyknął w końcu jeden z oprawców. – Nie chcę, by zemdłał, chcę, by dokładnie poczuł swoją śmierć.

Uśmiechnął się i wyjął zza pazuchy butelkę wypełnioną tajemniczą cieczą. Z butelki wystawała szmatka. Mężczyźni wycofali się za próg mieszkania, ich lider podpalił materiał i wrzucili płonący koktajl do mieszkania. Drzwi zatrzasnęły się w momencie, gdy ogień zaczął się rozprzestrzeniać.

cdn.

Rejs

Stary Kapitan przyłożył do oka lunetę i omiótł swym wzrokiem całą okolicę. Na horyzoncie nie było nic nadzwyczajnego – od kilku dni się nie działo się zupełnie nic. Zrezygnowany mężczyzna niedołącznym krokiem ruszył do swej kajuty. Usiadł w ulubionym fotelu i zasnął. Nie miał nic lepszego do roboty. Jediną zaletą tej nieustannej nudy było to, że nikt mu nie przeszkadzał. Kapitan zawsze mógł się wypaść.

Obudził się akurat w porze obiadowej. Posiłek był jednym z niewielu czynników urozmaicających jego jednostajny żywot. Czasem to, co jadł na obiad, było jedyną rzeczą, która odróżniała jego dni. Mężczyzna otworzył sobie puszkę paprykarza i zanurzył w niej widelec. Jadł w zamyśleniu, co chwilę zerkając przez lunetę.

Obserwował jedną z okolicznych wysp i cieszył się widokiem ludzi, którzy ją zamieszkiwali. Patrzył właśnie, jak rodzina z dwójką dzieci zasiada do stołu. Młodszy syn strasznie grymasił. Pewnie nie lubił nalewanej przez matkę zupy. Ten widok wprowadził Kapitana w zamyślenie. Starzec zastanawiał się nad tym, od jak dawna nie jadł zupy. Tutaj nie sporządzało się tego rodzaju posiłków, zwyczajnie nie było czasu na ich przygotowanie. Chociaż z drugiej strony, czas był tym, czego zawsze było w nadmiarze. Zwyczajnie nie było sensu gotować. W końcu doszedł do wniosku, że w zasadzie to on nawet nie miałby ochoty na zupę. Tak było najłatwiej. Zostawił tę myśl i powrócił do przyglądania się rodzinie. Obserwował, jak tubylcy jedzą, a ich starszy syn opowiada coś zawzięcie. Wypowiedz tak pochłonęła młodzieńca, że ledwie miał czas unosić łyżkę. Młodszy syn nachylony nad talerzem jadł, krzywiąc się. Po reprymendzie otrzymanej od ojca, chłopak nie śmiał więcej protestować. Starzec uśmiechnął się. Życie tych ludzi bardzo mu się podobało. Było takie proste, a jednak o wiele bardziej skomplikowane od tego, które wiódł on sam.

Gdy tubylcy skończyli obiad i każdy z nich powędrował do swoich obowiązków, mężczyzna skierował lunetę w innym kierunku. Błądził chwilę po wyspie, aż jego wzrok napotkał kilku chłopców z lokalnej wioski. Stali jak zwykle w małej grupie i rozmawiali. Fascynowały go takie spontaniczne zbiórki młodzieży. Zwłaszcza u chłopców widać było wtedy, jak silny jest ludzki instynkt stadny. Wyglądało, jakby ci młodzi ludzie nie mogli wytrzymać nawet jednego wieczoru bez swojego towarzystwa. Najbardziej uderzało go to, że każda tego typu grupka miała swojego lidera. Gdy człowiek dobrze się przyjrzał, od razu mógł go rozpoznać. Pewność siebie aż z niego emanowała. To ta cecha sprawiała, że był przywódcą. Starzec uśmiechnął się i zapalił fajkę. „Jakie stado, taki samiec alfa”. Przez chwilę śmiał się z własnego dowcipu, po czym powrócił do obserwacji.

Ta cywilizacja go fascynowała. Uwielbiał patrzeć na ludzi na wyspie. Mieli oni życie podobne do tego, jakie kiedyś prowadził. Widywał nawet pewną kobietę, która wyprowadzała na spacer psa wyglądającego jak ten, którego miał, będąc dzieckiem.

Wielu z podpatrywanych przez siebie tubylców poznał do tego stopnia, że w myślach nadał im rozmaite imiona. Jego ulubioną postacią była „Wiedźma”. Pełniła rolę kogoś w rodzaju szamanki. Zawsze gdy opuszczała swoje domostwo, napotykała jakąś starszą osobę i strasznie długo z nią rozmawiała. Konwersacje, jakie prowadziła, były niemalże monologami. Upiększała je gestykulacją tak mocno, że przypominały one swoisty taniec i niezmiernie cieszyły oczy starego Kapitana. To musiała być bardzo mądra kobieta. Do tego jeszcze uczynna i zawsze gotowa służyć radą.

Kapitan uwielbiał wszystkich „znanych” mu tubylców. Gdy tylko schodził na ląd, mówił napotkanym ludziom „dzień dobry”. Czuł wtedy, jakby naprawdę ich znał. To oni byli jedynymi towarzyszami jego podróży. Jego okrętem było puste mieszkanie, a za załogę służyła samotność. W ten sposób pływał tak jeszcze kilka lat. Dryfował między szczęśliwymi wyspami, aż skierował się do portu, którym była śmierć.

Rzeka życia. Rzeka śmierci.

Szkoda byłoby zmarnować tak piękny dzień, dlatego Daniel i Maria wybrali się nad rzekę. Daniel usiadł na brzegu, otworzył sobie piwo i lubieżnym wzrokiem obserwował swoją dziewczynę wchodzącą do rzeki. Brązowa woda niosąca ze sobą całą masę mułu, powoli zakrywała odważnie odsłonięte ciało nastolatki. Oboje znali tę rzekę od dziecka. W każde wakacje kąpali się w jej wodach, albo zwyczajnie przesiadywali na porośniętym trawą brzegu. Było to ich ulubione miejsce spotkań. Nic więc dziwnego, że tego upalnego dnia zdecydowali się ochłodzić właśnie w tym miejscu. Dziewczyna od razu ruszyła w stronę wody, chłopak zamierzał dołączyć do niej chwilę później. Najpierw wolał rozkoszować się widokiem. Uwielbiał jej ciało. Nie była ani za chuda, ani za gruba. Była jego ideałem. Patrzył jak brązowe włosy Marii cudownie opadały jej na ramiona. Zanurzała się powoli, co chwilę narzekając, że jest zimno. W momencie gdy piersi dziewczyny znalazły się poniżej poziomu wody, Daniel wstał i ruszył w stronę ukochanej.

Zdażył zrobić jedynie dwa kroki w wodzie, gdy prąd rzeki przybrał na sile. Zazwyczaj spokojny nurt zaczął przyspieszać. Na powierzchni rzeki pojawiały się coraz większe fale. Jedna z nich była na tyle wysoka, że gdy uderzyła w Marię, dziewczyna straciła równowagę i została porwana przez zdradliwą wodę. Daniel rzucił się w jej kierunku, ale nie był dość szybki, zobaczył tylko jej wyciągniętą dłoń. Bez namysłu zanurkował w desperackiej próbie ratowania ukochanej, która zniknęła mu z oczu. Płynął tak szybko, jak tylko był w stanie. Rozglądał się i wypatrywał choćby nikłego śladu dziewczyny, ale widoczność była znikoma i chłopak widział tylko bliżej nieokreślone kształty przemykające wokół niego. Kilkukrotnie wydawało mu się, że widzi przepływającego człowieka. Miał wrażenie, że coś musnęło jego ciało. W pewnym momencie poczuł uścisk dłoni, która złapała go za nogę. Natychmiast się wynurzył. Ze smutkiem stwierdził, że było to tylko złudzenie. W pobliżu nie było ani jednego człowieka. Chłopak został zupełnie sam w swojej rozpacz. Starał się nie tracić nadziei. Zanurkował ponownie. Ujrzał przed sobą przepływające ludzkie ciało. Tym razem miał pewność, że to człowiek! To musiała być Maria! Przecież w pobliżu nie widział nikogo innego! Pewnie żartowała z niego, a on głupi dał się nabrać. Uśmiechnął się i z wielką ulgą popłynął w jej kierunku.

Nagle zrobiło się ciemno. Coś złapało chłopaka, unieruchamiając go pod wodą. Miał wrażenie, że jakieś dłonie trzymały go w kostkach i nadgarstkach. Inne poruszały się po jego plecach i ramionach. Danielowi więzionemu pod wodą nie brakowało powietrza. W ogóle o tym nie myślał. Istniały tylko te dłonie i wywoływana przez nie dezorientacja. Chłopak szarpał, usiłując wydostać się z przerażającego uścisku. Jednak potworne dłonie trzymały zbyt mocno. Krążyły po jego ciele, czasem wywołując mrowienie, a czasem ból. Zniknęły tak szybko, jak się pojawiły. Daniel poczuł, że znów płynie, bezwładnie niesiony prądem rzeki. Z każdą chwilą wyraźniej widział otoczenie.



Ilustracja: Monika Stępień

Mętna woda przestała być jakimkolwiek utrudnieniem. Chłopak nie decydował już o swoim losie, wszystko zależało od rzeki. Od martwej masy wody, która przejęła właśnie władzę nad jego życiem.

W jego organizmie zaszły pewne zmiany. Niesiony przez fale chłopak nie musiał już oddychać i widział wyraźnie wszystko, co go otaczało. Obserwował dno rzeki, które porastały wodorosty. Między nimi przepływały stada ryb. Widział także kłody drewna dryfujące po powierzchni i śmieci leżące na dnie. W pewnym momencie jego wzrok przykuło ciało bydlęcia dryfujące w zawieszeniu między powierzchnią a dnem. Rozdęte ciele ruszało się wypełnione padlinożernymi węgorzami. W zwłokach odbywała się istna uczta. Nadgniłe truchło przemieniało się w nicość, będąc pokarmem dla tych oślizgłych stworzeń. W miarę jak chłopak zbliżał się do zwierzęcia, narastało w nim obrzydzenie. Jego żołądek ogarnęły skurcze powodujące odruchy wymiotne. To wszystko wywoływało w nim dreszcze, które targały jego ciałem. Przebywanie w wodzie, w której miał miejsce ten straszny rytuał żywienia, przyprawiało go o coraz większe mdłości. Pośmiertny zwierzęcy taniec był swoistym festiwalem tabu, którego nie chciał przełamywać. Mimo tego, nie mógł zwymiotować. Jego żołądek pragnął wyrzucić z siebie wszystko, co się w nim znajdowało, ale reszta organizmu, nie chciała współpracować. Daniel zaczął poruszać rękoma i nogami, robiąc wszystko, by płynąć szybciej. Nie chciał się dłużej tutaj znajdować, otoczony przez widmo gnijących zwłok. Wszelkie próby ucieczki kończyły się porażką. Prędkość, z jaką się przemieszczał,

nie ulegała zmianie. Musiał przetrwać określoną ilość czasu w tym otoczeniu. „Wszystko ma swój czas i swoje miejsce. Nawet cierpienie musi trwać odpowiednią ilość czasu” – jakiś głos zabrzmiał w jego głowie.

Miał już tego dosyć. Chciał wypłynąć. Chciał wydostać się z rwącej toni wody, która go porwała. Mógł się poruszać, ale nie mógł odmienić swojego losu. Wyciągnął rękę ponad wodę. Udało mu się chwycić wystającą gałąź. Złapał tak mocno, jak tylko mógł. Był już pewny, że uda mu się uratować. Będzie wolny, wyjdzie na ląd i w końcu zazna spokoju. Niestety, mimo jego silnego uchwytu, gałąź okazała się nadzwyczaj śliska. Jej kora wysunęła mu się z dłoni i chłopak ruszył dalej, niesiony nurtem swego zniewolenia.

Płynął obserwując otoczenie. Mętna woda odsłaniała przed nim swoje sekrety. Widział w niej ryby umykające we wszystkie strony. Nie były to normalne ryby. Nie miały zwykłych płetw jak wszystkie stworzenia tego rodzaju. Zamiast nich używały do pływania prymitywnych kończyn, które pozwalały im wyczołgać się na brzeg. Przez umysł Daniela przelatywała cała masa pytań. Gdzie on trafił?! Co to za dziwne miejsce?! Czemu nie może się zatrzymać?! Co się dzieje?! Chłopak był przerażony. Brak odpowiedzi wywołał w nim coraz większy strach. Chciał, by to się już skończyło. Choćby jego śmiercią. Chciał utonąć. Czemu nie mógł utonąć?! Już nie myślał nawet o swojej dziewczynie. Przestała go obchodzić. Prymitywny instynkt ograniczał jego problemy do martwienia się tylko o siebie. Nagle ujrzał łódź płynącą po powierzchni. Obok niej znajdowały się kolejne. Złapał za burtę i wynurzył się ponad wodę. Mężczyzna sterujący łodzią spojrzał na niego spokojnym, obojętnym wzrokiem.

– Pomocy! Proszę mi pomóc! – błagał chłopak.

Sternik patrzył na niego przez chwilę.

– Rozwój – powiedział, po czym wstał i cisnął wiosła do wody.

Daniel nic z tego nie rozumiał. Czemu on to zrobił?! Czemu mu nie pomaga?! Mężczyzna zanurzył w wodzie śrubę silnika spalinowego i ruszył przed siebie. Daniel ponownie zsunął się do wody. Widział jak pozostali ludzie wyrzucają wiosła i odpływają używając napędu spalinowego. Daniel był załamany i trząsł się w skrajnej rozpacz. Bał się, stracił już nadzieję na przetrwanie, pozostał mu już tylko strach. Wyczekiwał, aż rzeka zada mu ostateczny cios. Chciał się dowiedzieć, co wyniknie z tej sytuacji. Później chciałby mieć spokój. Choćby wieki. Niestety, jego wola nie obchodziła rzeki, która pozostawała cicha, jednostajna, a co najważniejsze bezlitosna. Nigdy nie przejmowała się wolą jakiegokolwiek istoty, bo jednostka nigdy się dla niej nie liczyła. Jej ciemne fale popychały w dal wszystko z równomierną siłą. Zawsze sprawiedliwie. Danielowi nie było pisane zostać wyjątkiem.

Nie czuł już strachu. Zwyczajnie, beznamiętnie czekał na śmierć, która nadal nie chciała go uwolnić. Miał wrażenie, że ta rzeka bawi się nim, niczym kot ofiarą. Trzymała go w swoich pazurach, a jej ruch musiał postępować. Musiała płynąć. Musiała się

zmieniać! Więc czemu on pozostawał w swoim ciele?! On się zawiesił w czasie! Był wyjątkiem! Paskudną brodawką na ciele piękności. Teraz to rozumiał! Był natrętnym pasożytem. Zgniłym pniem zatrzymującym nurt rzeki. Teraz to rozumiał!

Nagle prąd się uspokoił. Wody rzeki zwolniły i zatrzymały się w miejscu. Daniel chciał się rozejrzeć, ale odkrył, że nie jest w stanie się poruszyć. W tym momencie ujrzał jakiś nadpływający kształt. Było to stworzenie przypominające wielką żabę. Podpłynęło i zatrzymało się kilka metrów przed chłopakiem. Jego głowa przypominała żabią, ale kończyny wyglądały jak ludzkie. Brzuch pokrywały bruzdy i ropiejące rany, a skóra miała szarosiny odcień, co sprawiało, że stworzenie przypominało makabryczne skrzyżowanie topielca z żabą.

– Witaj! – krzyknęło.

– Kim jesteś? Pomóż mi! – odpowiedział chłopak.

Mimo że był pod wodą, jego głos rozchodził się jak w powietrzu.

– Jestem Bogiem! Bogiem rzeki! Jedynym śmiertelnym Bogiem tego świata! Rzeka to przemiana, to ewolucja. Moje królestwo się zmienia, więc i ja nie mogę żyć wiecznie.

– Pomóż mi! – błagał chłopak. Prawie nie słuchał monologu stworzenia.

– Nawet sobie nie mogę pomóc. Widzisz ten wrzód? – wskazał wielką, zaropiałą brodawkę na swoim brzuchu. – To mój potomek. Rośnie we mnie i zjada mnie od środka. Już niedługo rozerwie mnie na strzępy, by zająć moje miejsce. Ale jego panowanie też nie będzie długie. Gdy on zasiądzie na moim tronie, w jego trzewiach zaczną rozwijać się równie krwiożerczy płód. Wszystko dlatego, że rzeka to zmiana. Musi płynąć naprzód. Rzucony w nią kamień zmienia losy świata. Jej Bóg się zmienia. A co do ciebie... jej ofiara zmienia się tym bardziej!

– Ale czemu ja?

– Stałeś w miejscu! Żyłś związkiem, który minął! Twoja ukochana utonęła rok temu! Pomyliłeś teraźniejszość z przeszłością! Opierając się jej prądom, wzbudziłeś jej gniew! Teraz czas, żebyś odpłynął jak ona!

Bóg rzeki machnął ręką i ciało Daniela zesztyniało. Zaczęło zamieniać się w muł, który porywany przez wodę rozpływał się zgodnie z jej wolą. Z czasem osiadł na dnie, stając się częścią koryta rzeki. Stając się jej częścią.

Embrion

Redakcja: Alexander Nowakowski, Bartosz Ławrynkowicz, Monika Stępień, Karolina Błażejczyk, Paweł Pietrzyk

Adres e-mail: embrion.czasopismo@gmail.com

Zdjęcie na okładce: Mikołaj Rosati

Logo czasopisma: Małgorzata Rólka

Koło Naukowe Twórczości Literackiej „Ars Scripta”:

<http://arsscripta.wordpress.com/>

Adres e-mail: ars.scripta@gmail.com

Facebook: <https://www.facebook.com/arsscriptakn>